

Tadeusz hr. Lubieński



Życia

1900







Z ŻYCIA

Drukarnia J. R. Łakocińskiego  
w Krakowie

Tadeusz hr. Łubiński



Życia

1900



Nakładem  
Dra Władysława Miłkowskiego  
w Krakowie

110258



Maryś.





— Maryś! pan idzie.

— A niechta idzie.

— Godej se ta tak, a jak przyjdzie, to ino zęby do niego wyszczyrzos, a poziros, żeby pan co do ciebie zagodoł.

— Pleć ta, Kasiu, głupstwa, rozum ci się przez noc popsuł.

— A juści, popsuł mi się, nibyto nimom oczów, żebym nie widziała, myśmy ta wszystkie wczoraj widziały jak Jaśnie Pan z karbownikiem godali, toś darła trowę na grządce ino się mi-gało, żeby być najpierwszą, coby cię Jaśnie Pan pochwolił, a po-

wiedział, żeś ty najlepsza, a jak go nie ma, to się uwalisz na zagonie i myślis o Hameryce, cy ta o cem.

— A będziesz ty tam jedna z drugą plewić, czy nie, — krzyknął karbownik, chcąc zamaniestować w ten sposób swe poczucie obowiązku, wobec zbliżającego się pana, chowając przytem z pośpiechem na wpół skręconego papierosa.

— Dzień dobry Jaśnie Panu — zaczął karbownik zdejmując kapelusz słomiany, przy czem spuścił intonacją głosu o całą oktawę niżej, od tonu, którym mówił do dziewcząt.

— Dzień dobry, karbowniku, jakoś mało ludzi.

— Każdy sobie robi w polu, proszę Jaśnie Pana, nie przydą

jaż po niedzieli, żeby ino pogoda dotrzymała.

Bo też czas był śliczny! Lipcowe słońce wstało już dość dawno i rzuciło swe posłanie białych oparów, przetykanych górą różowemi obłoczkami, które, rozrzucone po niebie, kończyły się z drugiej strony horyzontu fioletowemi ząbkami. Młody Pan wodził zamysłonym okiem po młodych roślinkach, które, uwolnione z kajdan pyżu i powojów, zdały się wyciągać pstremi listkami ubrane główki ku słońcu, żadne światła i ciepła; potem wzrok jego przeszedł na młode dziewczęta, które rozsiadłszy się po grządkach w kolorowych chustkach na głowach, robiły zdaleka wra-

żenie różnobarwnych maków, rozsianych na polu.

— Mój Boże, co ta dziewczyna ma za oczy, myślał sobie w duszy, patrząc na Marysię. Czy ja się łudzę, czy co, ale tyle jest w nich wyrazu i uczucia jakiegoś nieokreślonego, jakby były obrazem zakochanej w czemś duszy, chyba nie w plewieniu, ani w tych wiejskich chłopakach, takich ordynarnych i brudnych, — nie, ja widziałem, jak ona na nich patrzy, wzrok jej ślizga się po nich, nie zatrzymując się wcale, jakby ich nie widziała. Przymruża nieco oczy, zawsze ma w nich jakiś wyraz tęsnoty, nienasycenia; te oczy szukają czegoś, jakby pokarmu dla duszy, pytają się ciągle, ale o co? o co taka dziewczyna może

się pytać, czego chcieć? czy może się w niej jaka indywidualność wyrobić? czy może poza najgrubszym realizmem życia wiejskiego coś odczuwać? ktoby ją tego nauczył, gdzieżby mogła mieć wzory na wsi czegoś, poza zwykłemi objawami życiowemi i popędami natury? Przecież taka miłość, jaka jest u nas, jest kwintesencją cywilizacji i kultury, to wyrafinowanie nerwów, wydelikacenie ich do najwyższego stopnia, to jest miłość ta niby idealna, bo inna; to taki sam popęd natury jak na wsi, tylko że ubrany innemi słowami, w innej odzieży, nie ze zgrzebnego płótna, lecz z kortów lub trykotów, przez krawca przykrajanych. Muszę się tym oczom przypatrzeć jeszcze; prze-

cież to nic złego: patrzę się na nią, jak na dzieło sztuki, powiem jej, żeby dobrze plewiła, jak zagadam do niej to się na mnie popatrzy...

Maryś!...

Podniosła głowę, oczy jej zamiast się przymróżyc, otwarły się szeroko, spojrzała na młodego pana spojrzeniem, którem piła blask jego oczu, łowiła słowa, które miał do niej powiedzieć. Młody pan szybkim ruchem nasunął kapelusz na oczy jakby od słońca, do którego stał tyłem, równocześnie drugą ręką wyjął papierośnicę i zaczął zapalać papierosa.

Łatwo było się spostrzedz, że te wszystkie manewra są na to, by ukryć pomieszenie, jakie mu to spojrzenie sprawiło. Za-



pomniał, co miał powiedzieć, bo zobaczył w jej oczach to, czego nie widział, gdy na innych patrzyła, znikło z oczu zamyslenie, a tyle w nich było wyrazu, jakby ta dziewczyna w oczach niejedno, ale kilkażyć miała.

— Nie śpiesz się tak — przemówił nareszcie dosyć opryskliwie, — „ale lepiej rób, chwast ci nie ucieknie, urywasz go, zamiast wyciągać z korzeniem; to na nie taka robota“!

„Ona, proszę Jaśnie Pana, zawsze tak robi“ — wtrącił się karbownik, — „to leń dziewczyna, śpieszy się i plewi byle jak, żeby dojść do końca grządki przed innemi, a potem siedzi i gapi się, Bóg wie na co; od

jutra już jej do roboty nie przyjmę, bo tylko paskudzi“.

Nie nie odpowiedziawszy, odwrócił się młody pan i poszedł dalej, a Maryś, schyliwszy głowę, zaczęła trzeć oczy rogami chusteczki na głowie.

— Cóż tam znów koło gęby dłubiesz — fuknął karbownik, tak, żeby go pan słyszał jeszcze zdaleka.

— Muchami wpadła do oka — cicho odpowiedziała Maryś. —

— Mucha, — burknął karbownik — masz muchy w nosie.

— Czemu się dziś za panem nie obzirasz, — szeptała Kasia — widzisz ją, możeś myślała, że ci na śniadanie chleba z masłem przyniesie ?



Słońce przepaliło dzień cały, ptaki prześpiewały, jaskółka ostatnią muchę dla piskląt swiergocących przyniosła, ludzie przeznoili dzień cały, — cicho i ciemno zrobiło się po gwarze i pracy słonecznej, księżyc ospale wznosił się do góry, wyczekując rzechotu żab i śpiewu słowika.

Na wsi utrudzeni ludzie poschodzili się do swych chałup, gospodarz ze swego zagona, dzieci z zarobku, gospodyni krząta się koło wieczerzy. I Maryś do swej chaty wróciła, siadła na progu, opierając o niego motykę, której wyszlifowane ziemią żelazo świeciło srebrem promieni księżyca. Ojciec wyszedł ciężkim krokiem ze stajenki,

rzuciwszy małej szkapinie garstkę koniczu, stanął przed drzwiami chałupy, otarł pot z czoła rękawem, popatrzył na niebo, — „choćwa Maryś jeść do chałupy“ — i schyliwszy się wpół, wszedł do izby.

— Matka! jeść a chybko. —

— Łe, chala, ty ino wlizies, a zaraz krzycz jeść, jakby się to samo zrobiło, — Kaśka co ino krowę przygnała, to ją trza wydoić, a trawy narznać, ziemioki oskrobać i nijak się odrobić nie mogę, sama za wszystkich robić muszę, a Maryś już kwilę, co przyszła, a nie zrobi nic, ino siedzi jak głupia na progu i do miesiączka ślipie wytrzyszcza, a jak przyjdzie jeść, o! to nie ostanie, ino więcej zje, jak inna.

— Nie bede, mamusiu, jadła dzisiok, cosik mie dusi.

— A niech cię ta dusi, mogłaś tamty nocy w chałupie spać, a nie leżeć w szopie, gdzie ci od rosy niebieskiej włosy zawilgły. —

I nie zwracając na nią więcej uwagi, postawiła na stole pełną miskę kartofli z mlekiem, do której cała rodzina z lubością się zabrała.

Maryś wstała z progu i widząc przez drzwi otwarte, że wszyscy zajęci są jedzeniem, wyszła poza ogrodzenie i szybkim krokiem swych drobnych bosych nóżek pobiegła do błyszczącej zdala kapliczki, ocienionej kilku młodemi świerkami. Tu klękała, a raczej rzuciła się o ziemię i chwyciwszy się rę-

kami klamki od drzwiczek kapliczki, jęła się modlić.

„Matusiu niebieska moja, co-  
sik mnie tu wedle serca dusi,  
pocieszę mnie biedną, bo mi  
się tu już cni od życia, wszyscy  
na mnie krzyczą, cóż ja też  
winna, żeś mi taką naturę  
dała. A i pan mnie, Matusieńku,  
skrzyczeli dzisioj, a ja tobym  
mu i zadarmo robiła, jak on  
na mnie popatrzy, zagada, a u-  
śmiechnie się, to mi tak wesoło,  
jak na jakim weselisku, a dyć  
ja to wolę jakby mi manusia  
dali tę krasą chustkę, co to  
Stach kupił za duże szóstki dla  
swojej. Ja taką lubość do na-  
szego pana czuję, że ino go  
zobaczę, to mnie zaraz za serce  
chyta, a patrzyłabym na niego  
ciągiem, choćby tydzień, a tu

mi nie dali jutro już przyjść do roboty! Matusieńku niebieska! proś tyż naszego Pana za mną, bo nie strzymam, jak go już nie będę widzieć; przywieszę Ci koraliki, te czerwone, jeden sznureczek, bo więcej nimam, ino niech mię ta jutro nie wygonią; — o jak się tyż boję, jak się tyż boję, Matusieńku, do jutra! — ino mi nie weź tej lubości do pana, bo mi ta życie bez tego nie warte! ja ta nikogo w świecie nie kocham ino Ciebie i tego pana; to też go przeproś, żeby mię do roboty wziął, a przemówił co do mnie, cobym widziała, że się na mnie nie gniewa“.

Ręce jej opadły i jęła całować kamienny stopień kapliczki, zwilżonej rosą i łzami.

I kiedy tak z kapliczką rozmawiała wolno, zamysłony szedł drogą młody pan. Usłyszawszy głos jakiś, stanął i zobaczył klęczącą postać dziewczęcia przy kaplicy. Cicho posunął się naprzód i niepostrzeżony stanął za świerkiem, koło kapliczki, i słuchał. Twarz mu się mieniła wrażeniami, które w świetle księżyca oddawały obraz jego duszy, walczącej ze sobą. Biedna dziewczyno, o co ty prosisz! — myślał sobie w duszy, po co Bóg stworzył cię na tej niwie, pączku kwiatka południowego? nie tobie tu na północy rosnać! ledwo się rozwiniiesz, zmrozi cię wiatr zimny, zwiędnie, nim zakwitnie. Jakaś ty piękna, Maryś, w twej naiwności dziecięcej!....



I nie mógł oczu od niej oderwać, a choć przestała mówić i modlić się, on wciąż słuchał echa tego głosu modlitewnego, jęku dziecięcego.

I odszedł z cicha, z oczyma zamglonemi i wyrazem tęsknoty, z tem drżeniem nerwów, które tylko szczyt cywilizacyi i kultury dać może.

\* \* \*

Znów słońce wstało, to samo słońce promienne i świeże szło ponad światem świecić ludziom smutnym i wesołym. Droga koło dworu szli ludzie do roboty, z motykami w ręku, a na drodze stał już młody pan, wcześniej niż zwykle, i zdał się szukać kogoś między ludźmi. Prze-

szli koło niego, zdejmując kapelusze i całując po rękach i poszli na zagony, by zdobyć sobie kawałek chleba, za swój znój i pracę, lecz pan tym razem nie poszedł za nimi, ale stał jeszcze chwilę, patrząc w stronę wsi; potem z wolna wrócił do domu. Nie miał dziś ochoty pójść na zwyczajny obchód gospodarstwa, siadł przy swem biurku koło okna, by załatwić liczne korespondencye familijne i interesów.

— Karbowniku — zawołał, widząc go przechodzącego, a dużo tam ludzi!

— Trzyności, proszę Jaśnie Pana.

— To mniej niż wczoraj.

— O jedno! proszę Jaśnie Pana.

— A któż to nie przyszedł?

— Maryś!

— Czemu?

Podobnoć chora! gdzie tam! mówiły dziewczęta, nie była wieczór w domu, wróciła późno, pewno zasnęła i boi się przyjść.

Po zadaniu jeszcze kilku pytań co do gospodarstwa, odprowadził go, potem kazał konia okulbaczyć i wyjechał w pole.

Jechał przez łąki, konia bódł ostrogami, a ten, nieprzyzwyczajony do tego, pędził po trawie mokrej, kopiąc ziemię szalonym galopem, i tak wpadł na granicę pól dworskich i gminnych. Tu młody pan konia wstrzymywać począł i ściągając go silnie munsztukiem osadził na miejscu.

szli koło niego, zdejmując kapelusze i całując po rękach i poszli na zagony, by zdobyć sobie kawałek chleba, za swój znój i pracę, lecz pan tym razem nie poszedł za nimi, ale stał jeszcze chwilę, patrząc w stronę wsi; potem zwolna wrócił do domu. Nie miał dziś ochoty pójść na zwyczajny obchód gospodarstwa, siadł przy swem biurku koło okna, by załatwić liczne korespondencye familijne i interesów.

— Karbowniku — zawołał, widząc go przechodzącego, a dużo tam ludzi!

— Trzyności, proszę Jaśnie Pana.

— To mniej niż wczoraj.

— O jedno! proszę Jaśnie Pana.

— A któż to nie przyszedł?

— Maryś!

— Czemu?

Podobnoć chora! gdzie tam! mówiły dziewczęta, nie była wieczór w domu, wróciła późno, pewno zasnęła i boi się przyjść.

Po zadaniu jeszcze kilku pytań co do gospodarstwa, odprowadził go, potem kazał konia okulbaczyć i wyjechał w pole.

Jechał przez łąki, konia bódł ostrogami, a ten, nieprzyzwyczajony do tego, pędził po trawie mokrej, kopiąc ziemię szalonym galopem, i tak wpadli na granicę pól dworskich i gminnych. Tu młody pan konia wstrzymywać począł i ściągając go silnie munsztukiem osadził na miejscu.

— Jak się macie, stary — zapytał wieśniaka, który paląc krótką fajkę, zabierał się do przewracania leżącego na pomieci żyta.

— Takta, Jaśnie Panie, ino mi dziewczyna cosik zaniemogła bardzo ty nocy, co ino teraz łoczami przewroco, mowę ji odebrało i ani się bidactwo ruszyć nimoże.

— To czemuż nie posyłacie po doktora?

— Cha no, trzaby pojechać, tyło ze jednego mom konia, to to moze ta ze sąsiadem się sprzęgnę i pojedę.

— No to trzeba się śpieszyć, bo czasem choroba nagła przychodzi i śmierć człowieka zabiera.

— A niechtyzta Matka Nojświętszo łobronio, to jobym się, Jaśnie Panie, zatropił, żeby mi tę dziewczynę wzięna; ciche to takie i potulne, że jaż radość na stare lata.

— No, to jedźcież po doktora i powiedzcie, żeby do dworu wstąpił.

— Dobrze, Jaśnie Panie.

Kiedy wieczorem usłyszał młody pan zajeżdżający przed ganek wóz, wyszedł pośpiesznie, a przywitawszy się z doktorem, wprowadził go przez salon do swego pokoju.

— No, cóż tam słychać, doktorze? cóż tej dziewczynie brakuje?

— Proszę pana, to jest dziecko, które ma bardzo silnie rozwiniętą wadę serca. Wogóle

cały jej ustrój jest niesłychanie wątły i niekwalifikujący się wcale do życia przy tak ciężkiej pracy, jaka jest na wsi. Jakikolwiek silniejsze nieco wstrząśnienie, czy to fizyczne czy moralne, może ją łatwo o śmierć przyprawić; zdaje mi też, że to wkrótce nastąpi. Domyślam się, że dziewczyna musiała ustać przy robocie; rodzice, nie mając względu na mały zasób jej sił, musieli to wziąć prawdopodobnie za lenistwo i skrzyczeli ją, a może i zbili, co właśnie wywołało ten atak sercowy, który każdej chwili skończyć się może śmiercią.

Ścisnęło się młodemu panu serce, ale nie dał tego poznać po sobie, i zaczął prosić doktora, by został na herbacie.



— Serdecznie dziękuję, odrzekł tenże, ale śpieszno mi do domu; mam jeszcze paru pacjentów do odwiedzenia.

I pożegnawszy się, siadł na wózek i pojechał.

Po wyjeździe doktora, młody pan, wzięwszy laskę i kapelusz, poszedł drogą na wieś, do chaty Marysi.

— Pochwalony Jezus Chrystus! A cóżto, matko, waszej córce brakuje?

— Oj! bieda, bieda, Jaśnie Panie, cosik się dziewczynie stało, ledwie zipie, zacyniuł kto cy co, bo to zawsze takie niezdarzone było.

— U mnie zawsze dobrze robiła, — odrzekł młody pan, zbliżając się do łóżka, na któ-

rem z szeroko otwartemi oczyma, blada jak śnieg leżała Marysia.

— Cóż ci tam Maryś, na cóż ty chorujesz, pamiętaj, jak będziesz zdrowa, przyjdź do roboty do dworu, i uśmiechnął się do niej, a równocześnie wyjął chustkę z kieszeni i jął przecierać oczy, jakby mu mucha do oka wpała.

A Maryś nie drgnęła, tylko leżała dalej nieruchoma, patrząc się na młodego pana, a z ust jej wyszedł ledwie dosłyszany szept: „Matusieńku niebieska, dziękuję ci“.

Nagle wyprężyło się jej biedne, wątłe ciało, siadła na łóżku, oczy wybiegły poza swój obręb, wyciągnęła w stronę młodego

Pana konwulsyjnie skręcone ręce i krzyknawszy:

— Matus, puście mnie do dwora! opadła ciężko na poduszki.





Wieśniak szlachcicem.



Miał przodków wiele, tylu zresztą, co wszyscy inni, na świecie żyjący ludzie, boć każdy syn miał ojca, a każdy ojciec musiał być poprzednio synem, i dziwnym zbiegiem okoliczności ludzie najniżej urodzeni mogą pod tym względem rywalizować z najbardziej starożytnemi rodami; jeden tylko Adam biedny, będąc najdawniejszym przodkiem, musi być przez dzisiejsze generacye uważanym za parweniusza, bo nie miał przodków.

Miał więc Leon ród starożytny, różniący się jednak tem od innych, że od paru wieków jedno nosił nazwisko, a członkowie jego, rodząc się pod szczęśliwą gwiazdą, przynosili z sobą wielką energią życiową, zamieniającą się z wolna w wielkie znaczenie w kraju, a w złoto w kieszeni. Z czasem ludzie owi, wyszedłszy ze stalowych pancerzy i skrzydeł huzarskich, słabnąć poczęli, a energia ich, miasto sławy i dostatków, rodziła flirt i różnego rodzaju sporty, rzeczy na pozór szlachetne, wewnątrz puste. Leon był dzieckiem swego wieku, a otrzymawszy w spuściźnie zdrowie, siły i majątek, szafował niemi hojnie, prowadząc życie sportsmena w całym tego





słowa znaczeniu. Więcej go obchodziły pediegre niż własny rodowód, wiedział kilkanaście pokoleń wstecz, jaki koń, od którego pochodzi, na torze czuł się jak ryba we wodzie, a tak był przejęty tym sportem, że na zwycięskiego konia patrzył jak na dostojnika, omal, że mu się nie kłaniał. Wogóle patrzył na konie tak, jak się patrzy na ludzi; sam sobie z tego nie zdając sprawy, konie wysokiej krwi uważał za arystokratów, miał ich za równych sobie i tak, jak ludzi gminnego pochodzenia uważał wprawdzie za ludzi niezupełnych, jednak innego jakiegoś stroju, tak też i konie, o których rodowodzie nie nie wiedział, uważał za innego rodzaju



zwierzęta. Tę pasyą do koni tłómaczył sobie atawizmem rasy, sądził też, że z tego samego źródła czerpie swe zamiłowanie do polowania; gdy się sezon polowań otwierał, przyjeżdżał do siebie na wieś, polując, z podziwienia godną wytrwałością, na wszelkiego rodzaju zwierzynę. Zajmował się przytem nieco gospodarstwem i kontrolował rachunki wieczorami; gdy zaś był sam, zapraszał na herbatę proboszcza, z którym grywał w pikietę lub wszczywał różnego rodzaju dysputy. A że ksiądz był człowiekiem niezwykle miłym i wykształconym, przeto czas prędko im schodził na wieczornych gawędach.

Jednego właśnie z tych dni wracał Leon, obarczony łupem z polowania; wszedł do domu, by zmienić przed herbata ubranie, przepocone i okryte kurzem. Szerokie kamienne schody prowadziły do wielkiej sieni o gotyckich oknach; ściany jej ubrane były rogami jeleni i rogaczy, wypchanemi głowami dzików, tudzież różnego rodzaju starą bronią. Na wprost drzwi wchodowych były drzwi, prowadzące do wnętrza domu, całego szeregu pokojów, urządzonych ze smakiem i elegancją. Wogóle był to dom więcej podobny do jakiegoś zamku, niż do dworu szlacheckiego. Ogromne szkarpy podpierały mury stare, ciemniejsze, które wznosząc się na pięta, przykryte blaszanym da-

chem, wystrzelały jedną stroną w basztę, dosyć wysoką; po drugiej stronie kamienna weranda rozciągała się wzdłuż całej szerokości domu, schodząc kilku terasami na przestronną, piaskiem wysypaną drogę, poza którą ciągnął się gazon duży, ubrany malowniczym rysunkiem kwiatów dywanowych i pojedynczo porozrzucanemi egzemplarzami rzadkich drzew i krzewów. Na dalszym planie widać było klomby sosen amerykańskich i świerków, przetykanych środkiem srebrnemi topolami. Między te klomby wciskały się węzowato prowadzone ścieżki, ginące w morzu zieloności. Z werandy zrobiony był widok poprzez drzewa klombów na kościół, stojący na wzgórku i rozciągającą się

u stóp jego wieś. Na tej to werandzie stał stół, nakryty do herbaty, a obok, na kołyszącym się krześle, siedział przebrany już Leon, oczekując proboszcza.

Jakoż po chwili pokazał się gość oczekiwany, po drugiej stronie gazonu idąc zwolna. W rękach niósł otwarty brewiarz i czytał z niego, a usta poruszały mu się szybko; chciał widocznie skończyć modlitwę, nim przyjdzie do celu.

Był to człowiek wysoki, szczupły, a wyszarzała nieco sutanna i blada, sucha twarz wskazywały, że więcej prawdopodobnie myślał o swoich owieczkach, niż o sobie. — Blisko już będąc, brewiarz zamknął, przeżegnał się, a podniósłszy oczy przed siebie, zobaczył Leona.

— Dobry wieczór panu, rzekł, widzę, że się spóźnił nieco, bardzo przepraszam, ale byłem u chorego i dopiero co wróciłem. Ależ nic nie szkodzi, księżę proboszczu — odpowiedział Leon, przyczem wstał, by się przywitać.

— Niechże ksiądz siada, ja także dopiero co wróciłem, trafiłem na duże stado kuropatw i postanowiłem je wybić do nogi, ale długo musiałem na to pracować.

— Ale bo też pan zapalonym jest myśliwym; po takim skwarze chodzić parę godzin, to już trzeba mieć pasyą do polowania i sił też niemało.

— I rzeczywiście zmęczyłem się porządnie, ale gdyby tak powiedziano teraz, że duże stado

kuropatw jest zaraz za ogrodem, a jasno jeszcze było, zaraz bym poszedł. Rasa, księżo kochany. Ale ksiądz, choć nie polowałeś, także zmęczony wyglądasz.

— Dostyc uciążliwy dzień miałem, odpowiedział proboszcz; zrana było dużo ludzi do spowiedzi, po południu szkoła, a ledwie z niej wyszedł, przyjechali po mnie do chorej kobiety.

— To jednak musi być ciężką rzeczą tak pracować jak ksiądz; dzień w dzień ta sama praca i trudy zawsze równie nudne i ciężkie. Żeby to jeszcze ci chłopci jaką wdzięczność okazywali, przywiązanie, ale gdzie tam!

— Niech mi pan wierzy, że się pan myli. Trzeba chłopów naszych długo badać, dużo

z niemi obcować, żeby ich poznać; pod zgrzebną koszulą bije nieraz szlachetne serce, pod twardemi i ordynarnemi słowami tkwi czasem głębokie uczucie. Nie mają form, delikatności — i brak tego razi was i odrazu odwracacie się ze wstrętem, nie patrząc głębiej. A co to jest ta wykwinność form, ta pseudodelikatność światowa? To jest płaszczyk i nie więcej tylko płaszczyk, do przykrycia najtwardszych, najsprośniejszych, najgorszych uczuć.

— No, może ksiądz myśleć co się księdzu podoba, ale nie przekona mnie nic do chłopów. To są bydłeta, niezdolne do odczucia czegokolwiekładź. Obydwaj należymy do szlachty, więc mówić mogę otwarcie,



że ze szlachectwem nazwiska dziedziczy się także pewna szlachetność charakteru. Jak jest atawizm fizyczny, tak też i duchowy. Nie może być inaczej. Temperament, usposobienie, zdolności, w ogóle cały nasz ustrój duchowy oparty jest przecież na ustroju fizyologicznym, więc na pewnym systemie nerwowym i budowie mózgu. Jeżeli ja podobny jestem do mego ojca z rysów twarzy, ruchów i t. d. to też i moralnie muszę mieć do niego jakieś podobieństwo. Naturalnie, wychowanie, stosunki w jakich się żyje, ludzie, z którymi się obcuje, osobista siła charakteru, mniejsza lub większa, mogą z dziecka zrobić zupełnie innego człowieka i bardzo często dzieje

się to, ale jako zasadę można z pewnością zdanie moje przyjąć.

— No, dobrze, ale cóż to ma wspólnego z tem, jakoby u chłopów znaleźć nie można było jakichś szlachetniejszych popędów? zapytał proboszcz.

— Zaraz to księdzu wytłumaczę.

Otóż przodkowie nasi, rodząc się z przeznaczeniem bronienia kraju życiem swoim, wychowali się na rycerzy, gotowych każdej chwili wszystko porzucić i poświęcić za wiarę i ojczyznę. To wyrabiało w nich hart duszy i ciała, szlachetne i bezinteresowne porywy i tem karmione pokolenia przykładem i tradycją przekazywały

ten sposób życia i myślenia aż do naszych czasów.

Dzisiaj stosunki są inne; nie mamy sposobności do prowadzenia tego rodzaju życia, co nasi przodkowie, ale te różnego rodzaju sporty, połączone nieraz z niebezpieczeństwem życia i zabijającym zmęczeniem są słabym wprowadzie, ale zawsze odbiciem starych charakterów naszych przodków.

A taki chłop co?

Maciek pasł bydło, gdy był dzieckiem i ojciec Maćka tak samo; dziadek, pradziadek, jeden drugiemu przekazywał tradycją, jak ma bydło paść, jak panu się kłaniać. Teraz dopiero chłop swardział, a przygotowywało się to od czasów zniesienia pańszczyzny. Z początku

nie mógł się jeszcze połapać, że on jest obywatelem, że jest niezależnym panem na swoim zagonie, ale nie długo to trwało. Doszedłszy raz do świadomości, że można coś posiadać, stał się chciwym, chciał mieć jeszcze więcej i odtąd każdego, co więcej od niego posiada, uważa za swego krzywdziciela, a gdy coś od nas dostanie, bierze jakby z łaski, sądząc, że mu się należy dużo więcej. Tę myśl przewodnią chłopcy chwyciły w swoje ręce różnego rodzaju szumowiny społeczne i nuże podburzać lud, nuże szczuć go na panów i księży, nuże odbierać im to, co mają do równego działu. To jest socjalizm chłopski, albo uczucie wdzięczności, jaką dla nas chłopcy

mają za to, cośmy dla nich zrobili, albo zrobić chcemy.

— Co do tych skutków pańszczyzny, to kiedyindziej pomówimy, nie da się to jednym słowem określić. Teraz wróćmy do tego atawizmu fizycznego i duchowego, o którym pan mówił. Otóż gorzką prawdę mimochcąc pan wypowiedział. Jak wiadomo, jedyną i niepodzielną władzą w Polsce była szlachta; z niej wybieraliśmy królów, którzy nie rządzili, lecz którymi rządzono. Ale Polska upadła z czyjej winy? Chyba nie przez tych, co w pocie czoła i pod kijami ekonomów uprawiali ziemię i sami jedni pracowali na chleb dla swoich panów i siebie. Więc upadła Polska z winy klasy rządzącej

to jest szlachty. Nie odmawiam jej zalet wielkich, ale wady ich były większe. Dowodzić chyba tego nie potrzeba; stan dzisiejszy naszej ojczyzny dostatecznym jest obrazem co przeżyło. Jeżeli więc odziedziczyliśmy po przodkach naszych zalety, odziedziczyliśmy i ich wady. Nie zostawili więc nam oni monopolu na szlachetność uczuć i popędów. A jakież mogą być inne warunki, któreby w naszej klasie więcej, niż innych bardziej wyrabiały szlachetność? Lepsze odżywienie, wykształcenie, wiadomości różnego rodzaju, służą tylko do tego, by nas zrobić wrażliwsiemi; są to niejako szkła, przez które lepiej się widzi, ale szkła te samych oczu nie zmieniają;

te zostają takie, jakimi były od początku. Ze szlachetnością uczuć człowiek się rodzi, bez względu w jakiej warstwie społecznej. Różnica tylko w tem, że gdy człowiek wykształcony jest ich świadom i wychowaniem swoim uwydatnia je w różnych subtelnych odcieniach, człowiek prosty działa instynktowo, nie zdając sobie nawet czasem sprawy z tego, co robi. Nie należy przytem zapominać o rozdziale uczuć, człowiekowi wrodzonych, a temi, które stworzyła nie natura, lecz cywilizacja i kultura.

Ksiądz chciał dalej mówić, gdy Leon, rzuciwszy okiem w stronę wsi, wstał nagle, a chwyciwszy machinalnie księ-

dza za rękę, rzekł: zdaje mi się, że się na wsi pali.

Jakoż ponad jedną z chałup wznosić się począł słup dymu ciemnego, zabarwionego na żółto; po chwili doleciał do ich uszu jakiś niewyraźny krzyk i zgiełk, dym zaczął coraz bardziej żółnąć, aż wystrzelił z niego kilkuramienny język ognisty. Nie było już wątpliwości, że to pożar.

— Janie, zawołał Leon na służącego, biegnij do rządcy, żeby kazał natychmiast zakładać do beczek i sikawki; na wsi się pali. Mówiąc to, zeszedł szybko wraz księdzem z terasy; zaponmniawszy nawet o kapeluszach, szli przez ogród do ognia. Wyszędłszy na drogę otwartą, ujrzeli już całą chałupę w ogniu.



— Zdaje mi się, że to chałupa Marka się pali. Biedni to ludzie, pięciorgiem obarzeni drobnymi dziećmi, powiedział ksiądz.

— Biedni ludzie, odpowiedział Leon, trzeba będzie ich czymś wspomóc, ale, co prawda, to z pewnością sami sobie winni. Najczęściej przyczyną tych pożarów na wsi są dzieci. Rodzice zostawiają je same w domu, a te znalazłszy byle gdzie leżące zapałki, podpalają chałupę i koniec.

— Dobrze panu tak mówić. Ojciec i matka idą na zarobek, żeby móc dzieciom kawałek chleba kupić, a nie mają na to, żeby guwernantki przy dzieciach zostawiać. Wy, ludzie w świecie żyjący, mimo bardzo pię-

knych paragrafów sprawiedliwości, wnosicie najczęściej z faktów o intencji; pytacie się co zrobił, a nie pytacie: dlaczego zrobił; w jednym tylko konfesyonale, gdzie sprawiedliwość i miłosierdzie Boże przez usta księdza przemawia, decydującem o wyroku pytaniem jest: człowieku, czemuś to zrobił? Co prawda, łatwiejsze, mamy zadanie, niż sądy świeckie, bo do nas przychodzą tylko ci przestępcy i zbrodniarze, którzy, poczuwając się do winy, oddają się nam dobrowolnie, gdy sądy świeckie mają do czynienia z ludźmi, których biorą na spowiedź, wbrew ich woli, a nie dowierzając im, biorą, dla odczytania intencji faktu, świadectwa innych ludzi.

Tak rozmawiając, doszli do pałacej się chałupy; wokoło niej mnóstwo uwijało się ludzi, krzyząc i potracając się wzajemnie konewkami, któremi z tuż obok położonej sadzawki czerpali wodę. Ale jak to w takich wypadkach zwyczajnie bywa, niezorganizowana systematycznie pomoc mało pożytku przynosiła.

Leon, widząc nadjeżdżające już beczki i sikawkę, w jednej chwili porozdzielał ludzi: jednych pchnął do sadzawki, by nalewali wodę do beczek, drugich postawił przy sikawce do pompowania i wkrótce potem silny prąd wody począł walkę z syczącym na niego przeciwnikiem.

Cała rodzina Marka stała opodal zgromadzona; chłop z załamaniem rękami, jakby skamieniały, patrzył bezmyślnie w ogień; jego żona, tuląc instynktowo do siebie przestraszone i płaczące dzieci łkała głośno, zawodząc, a baby wtórowały jej płaczem.

Nagle, spojrzawszy po dzieciach, krzyknęła przeraźliwym głosem: la Boga, la Boga, Jaguś została w chałupie!

Ucichły krzyki, wszyscy stanęli jak wryci. Najrozpaczliwszy krzyk mniej byłby rozdzierający, niż ta cisza, przerywana tylko trzaskiem palących się belek.

Lecz trwało to krótko, bo w tej chwili wysunął się z tłumu młody parobek w suk-

manie i przeżegnawszy się, wbiegł do palącego się domu. Znowu wzniosł się krzyk gwałtowny i krótki z kilkuset piersi wyrwany i przeleciał tak szybko jak błyskawica po niebie, zasłanem czarnemi chmurami.

Parobek znał widocznie dokładnie rozkład domu, bo mimo czarnego i gryzącego dymu skierował się prosto z małej sionki do izby, posunął się w niej parę kroków naprzód i stanął. Nie wiedział gdzie dziecka szukać, bo w izbie pełno już było dymu, a po niskiej powale przemykały się już płomienie. Wtem usłyszał w jednym z kątów słaby płacz, przerywany widocznie duszeniem się; żywo rzucił się w tę stronę, ale się potnął i prze-

wrócił. To stanowiło jego ocalenie, trafił bowiem na cebrzyk z wodą. Ta niespodziewana kąpiel wróciła mu przytomność, wstał szybko, zdjął ze siebie sukmanę i zamaczał ją całą w wodzie, a domacawszy się dziecka zawinał je w nią i skierował się ku wyjściu. Dym go dławiał, więc dziecko wraz z mokrą sukmaną jedną ręką przytknął do twarzy, drugą zaś, wyciągniętą naprzód, szukał wyjścia. Znalazł je wreszcie; lecz zapomniawszy o tem, że są tak niskie, uderzył się w głowę i po raz drugi na wznak się przewrócił. Nie puścił jednak z ręki dziecka, ale leżąc na ziemi ciężko oddychał, a usta poruszały mu się bezładnymi słowy modlitwy.

Wtem, z poczynającej się już przepalać powały, spadła rozpalona głownia na nogi leżącego; ból okropny ocucił go; zerwał się znowu, wypadł do sionki, a stamtąd ostatkiem sił, już przez płomienie, wypadł na dwór i runął omdlały na ziemię. Z radosnym krzykiem, który dziwnie brzmiał wobec zwiększającego się ognia, rzuceno się ku niemu, a odciągnawszy go poza obręb szalonego gorąca, z trudem wielkim wyjęto mu z kureczowo zaciśniętych rąk dziecko, które matka, niemal nieprzytomna z radości, chwyciła w ramiona.

Z zażawionemi oczyma, proboszcz i Leon poczęli go cucić; wkrótce też otworzył oczy, co widząc Leon rzekł: no, tęgi

chłopak z Ciebie, żeś się też  
nie bał iść w ogień!

A on, uśmiechając się, odpo-  
wiedział słabym jeszcze głosem:  
cosik mi ta mówiło wedle serca,  
żeby iść, tom i poszedł.



Państwo Janowie.



Słońce rzuciło ostatnie swe promienne spojrzenie na gwa-  
rzącą ziemię, mozajkując niem  
wysokie drzew korony, gładząc  
złotą ręką marszczące się po-  
wierzchnie wody; ale ledwo  
pieszczota ta minęła, woda spo-  
sępniała, ściemniała i smutnym  
rzechotem żab słała za słońcem  
urywaną skargę rozstania.

Snać jadący nad wodą na  
gniadej klaczy młodzieniec rów-  
nież musiał być smutnym, bo  
odbijający się obraz jego w zwier-  
ciedle wyrazem twarzy licował  
z otaczającą go naturą.

Roztargnioną ręką wstrzy-  
mywał konia, którego chód

nerwowy i znaczna po całym ciele siatka delikatnych żyłek mówiły, że byle mu, zamiast grobli stawu, podesłać step pod nogi, byleby mu jeździec żelaznego popuścił hamulca, a puściłby się w zawody z rumakiem Farysa.

A młodzieniec jechał dalej tym samym krokiem, minawszy staw, między dojrzałe łany zbóż, które czując zbliżającą się kosę śmierci, żegnając się z sobą, trącąc się zcicha kłosami, a słaniając się całe w stronę przejeżdżającego pana, zdały się tajemniczym szumem prosić jeszcze o dni kilka życia. Przejechał potem folwark i otaczający dwór park duży, stanął przed gankiem, by oddać konia

czekającemu już na niego stangretowi.

— Jutro o piątej zrana przyprowadź mi Arpada, ale mu włóż tranzle, bo na umunsztuku rzuca się bardzo.

— Dobrze, proszę pana, jutro o piątej.

Stangret wziął konia, a Jaś wszedł na ganek, gdzie przy stole nakrytym do kolacyi siedziała z książką w ręku jego żona.

— Tak późno wracasz, Jasiu, a potem się gniewasz, gdy Ludwik kolacją nie na czas daje; zresztą wiesz, że i mnie i tobie szkodzi, gdy późno wieczeryamy.

— Gdzieś był?

— W polu są żniwa koło stawu, ja to tak lubię, a po-

wtóre: jak jestem na polu, to robota dużo prędzej idzie; czy wiesz, że dopiero pierwszy raz jestem u swego żniwa?

— Ty to wiecznie z tymi ludźmi siedzisz, ciągle żartujesz z nimi i bawisz się, a o mnie zapominasz, już nie dbasz o mnie tak, jak dawniej.

— Ależ, proszę Cię, nie nudź mnie ciągle tem dbaniem o Ciebie; doprawdy nie wiem czego chcesz odemnie. Staram się dogodzić ci, czem mogę i jak mogę. Nie pocałuję cię, to mówisz, że zapominam o tobie; pocałuję cię, mówisz: ty mnie całujesz, bo wiesz, że ja tego chcę, ale ci to żadnej przyjemności nie robi — i bądź że tu mądry! Przyjeżdżam zmordowany jak pies z pola, chcę sobie od-

począć spokojnie po całym dniu roboczym, a ty mnie ładnie przyjmujesz!

I na takich to swarach schodziły im wieczory od niejakiego czasu, robiąc wrażenia ciemnych chmurerek, które zbierając się ze wszystkich stron horyzontu groziły zlanieniem się w jedną ołowianą chmurę, mogącą w krótkim czasie złamać ulewą wątki kwiat wspólnego ich szczęścia.

Co to za zagadka — życie? myślał sobie później chodząc po ogrodzie, — niby wszystko mamy, co do szczęścia potrzeba, pobraliśmy się z miłości, materialnie nie mamy trosk żadnych, a jednak w tem naszym szczęściu jest jakiś cień, który kłuje, a którego znaleźć nie mogę. Z początku, pamiętam,

tyłe tygodni, miesięcy miłości raczej szafu miłosnego, tem gwałtowniejszego, im bardziej czuliśmy, że się kończy i narreszcie stanęliśmy naprzeciwko siebie z próżnemi rękoma, nie mający sobie nic do dania, raczej do wzięcia, bo nie myślę o tem, coby jej dać, tylko coby od niej wziąć, a ona taka sama. Mój Boże! jakie to głupie te romanse, które jakąś wiekuistą miłością się kończą; kończy się nią książka, ale nie życie. A choćby spróbować poświęcać się dla niej, przecież ją kocham — ej nie — nie warto! Naprzód ona przyjmie to jako należyty hołd i w dodatku będzie mi jeździć na głowie, a potem: jak się mam dla niej poświęcać? Nie bardzo widzę spo-



sobu: ona prędszej mogłaby dla mnie coś zrobić, ustępować mi, gdy widzi, że jestem rozdrażniony lub zmęczony; ja bym jej był za to wdzięczny, okazywałbym jej to, starałbym się być uprzedzającym w tych drobnostkach życia codziennego i byłoby doskonale.

Tak on rozumował, tak samo ona myślała, przewracając bezsensną główkę po poduszkach. I co rano wstawali ze skrytą nadzieją, że jedno z nich zacznie drugiemu ustępować; tymczasem żadne nie zaczynało i kwasili się i cierpli nawzajem z dniem każdym. W romansach i często w życiu zjawia się jakiś lub jakaś — robi się awantura wcześniej czy później, potem rozwodem lub pojedynkiem ob-

chodzi się pierwszy jubileusz małżeństwa, czasem śmierć ofiaruje swoje pośrednictwo, a wtedy owdowiały małżonek lub małżonka gorzko płacze czas jakiś, zwyczajnie dość krótki, nad skończoną niedolą lub niepoznanem szczęściem.

\* \* \*

Tu inny wzięło obrót życie. Krach banku, w którym był złożony cały posag żony, parę weksli żyrowanych przyjaciółom starym i pewnym, dopełniły miary i państwo Janowie znaleźli się z półtorarocznym dzieckiem na bruku miasta. O ile smutna, o tyle częsta historia.

Najęli na przedmieściu w oficynie dwa ciemne pokoiki i zaczęli myśleć nad środkami utrzymania się przy życiu.

Helenka była dotąd jak odurzona błyskawicznie po sobie następującemi wypadkami. Apatyczna na wszystko, robiła wrażenie dziecka, które, upadłszy na ziemię, zbladło i zaniósło się, łapiąc dech i dopiero po chwili zaczęło, krzycząc okropnie, płakać.

Ujrawszy się w nowem mieszkaniu, zaczęła się po niem rozglądać. W pierwszym pokoju, w rogu, stała kuchnia kafłowa; kilka rondli i garnków żelaznych, stojących na obok przybitych pułkach, stanowiło cały arsenał kuchenny. Pod pułkami był duży stół, niegdyś biały, teraz

szarawy i posiekany cały nożem; po drugiej stronie przy ścianie stał na stołku cebrzyk, służący widocznie do pomywania naczyń, dwie konewki przy drzwiach dopełniały umeblowania. W drugim pokoju, naprzeciwko drzwi od kuchni, stały dwa łóżka drewniane, a między nimi kołyska, okryta do połowy budą, obciągniętą grubym płótnem; po lewej stronie od drzwi, pod oknem, stał rodzaj biurka z obdrapaną politurą, a na niem leżały pomieszane ze sobą: zabawki dziecinne, szczotki, grzebienie i przybory do szycia. Naprzeciwko okna, drugą stroną pokoju ozdobiła ceratowa kanapa; przed nią mały stolik i kilka w koło ustawionych wyplatanych krzesełek

stanowiły salon. Oprócz tych sprzętów była jeszcze szafa, stojąca, w skutek braku miejsca, tak blisko prawej strony drzwi, że gdy je otwierano, uderzały zawsze klamką w bok szafy, zostawiając na niej głęboko wciśnięty już rowek. I porównując to mieszkanie ciemne i nędzne, do pokoi jasnych i wykwintnych, które niedawno zmuszona była porzucić, jęła Helenka płakać strasznie i ciężko, przejęta całym brzemieniem nieszczęść, które na nich spadły.

Przyzwyczajona od dzieciństwa do zbytków i wygody, stanęła nagle wobec nędzy, którą tylko wtedy poznać można dokładnie, gdy się ją samemu czuje.

Po pierwszym wybuchu, gdy nerwy jej skurczone spazmatycznym łkaniem wolnieć poczęły, pierwszym impetem myśli szukała środka osłodzenia sobie życia. Przechodziła kolejno wszystkie przyjemności, których do niedawna używać mogła. Teraz wszystko to było dla niej niedostępnem: podróże, toalety, wygodny domowy życie, dawniej realne, teraz przybrały szatę zjawisk nieuchwytnych. I wciąż zaczynała na nowo ten rachunek nie sumienia, lecz przyjemności, z desperacką uporczywością tonącego człowieka, który, niespostrzeżony przez przepływającą w pobliżu łódź, napróżno do niej swe ręce wyciągał. Przypominała sobie wreszcie ludzi, z którymi te dawne uciechy

dzieliła, przypomniała sobie uśmiechy i półsłówka tyłu przyjaciół, te pytania bez słów ich oczu, na które ona zalotno-drwiącym odpowiadała uśmiechem i myśl jej upoczywie do tych wracała obrazów, brała je w pozłacane ramy i zdobiła w mający czar tajemnicy i grzechu. Widziała się już wracającą z rozkosznych schadzek. Oczy jej błyszczały poza gęstą woalką, pierś falowała jeszcze rozkosznem wspomnieniem i przemykając się skrycie bocznemi uliczkami wchodziła znużona do swych ciemnych, jedną lampą oświetlonych izdebek, widziała Jasia, który siedział na krzeselku drewnianym z dzieckiem na kolanach i tulił jego główkę jasną i niewinną do

swojej głowy, ciężko zwieszanej nad ziemią. I Jaś słysząc, że drzwi się otwierają, podnosił na nią swe smutne i łagodne oczy i pytał:

— Helenko! gdzieżeś tak długo była?

— Dopierom wrócił do domu; zastałem dziecko same, płaczące za tobą! A z jej ust wymknąć się miało kłamstwo, a z oczu fałsz!

Czuła w tej chwili, że nie byłaby zdolna znieść na sobie tego spojrzenia, nie byłaby zdolna przycisnąć do piersi dzieciny, która na jej widok wyciągała chude rączka i wołała przez łyzy: mama, mama! Więc stałaby bezradna na środku pokoju z opuszczonemi rękoma i widziała, jak w tem



pałacem milczeniu ginęła powoli resztką sił młodości i nadziei Jasia.....

Takie obrazy darły i tłoczyły się jej długo do serca, ustępując sobie miejsca co chwila.

Nagle wstała, wstrząsła się jakby zrzucając z siebie gady, pełną ku sercu i jęła porządkować z gorączkowym pośpiechem sprzęty w pokoju, ścierać kurze i pokój zamiatać. Piękniejszą była wówczas w swej skromnej płóciennej sukni, z zakasanemi rękawami, mając za jedyną ozdobę dwie duże łzy w oczach, niż rok temu, gdy z dyamentową rivięą na obnażonej szyi rozpoczynała, prowadzona przez pierwszego tancerza, świetny bal, ciągnąc za

sobą pijane podziwem spojżenia.

Jaś już dni kilka biegał po całym mieście, szukając napróżno lekcyi muzyki, jedyne go sposobu pracowania na życie. Wszędzie pytano o papiery i świadectwa i odprawiano z kwitkiem.

Wieczór nadchodzi, śpieszno mu było do swoich, z pustemi zaś rękoma powracać nie miał ochoty do domu. Przypomniał sobie jeszcze jeden z biura wywiadowczego podany mu adres, a choć daleko to było, a on całodziennem bieganiem zmęczony, powlókł się jednak naprzód i po niejakiem czasie zadzwonił u drzwi mu wskazanych. Zapytany o świadectwa, już miał, nie dawszy odpowiedzi, wyjść,

gdy rozpacz podsunęła mu myśl.

— Świadectw, proszę pani, żadnych nie mam, ale jeżeli pani pozwoli, zagram cokolwiekbądź, a wtedy pani osądzi, czym jest zdolny udzielać lekcyj, czy też nie.

Zgodziła się, lubo niezbyt chętnie, pani, na tę propozycją, a on usiadł przy fortepianie i zaczął grać romanse Rubinsteina. Z początku wolno, zcicha śpiewał swą skargę żalną, płakał z rezygnacją nad swoją niedolą, potem śpiew spotęźniał, zaczął gwałtownie się rzucać, jakby chcąc wydość się na wolność, zrzucić kajdany go wiążące, a nie znalazłszy sił dosyć, zaczął słabnąć i ciszeć, aż skonał ostatnim

akordem pod drżącemi palcami muzyka.

Jaś wstał blady i rzucił nieśmiałe spojrzenie w stronę pani, która jakoby nie zauważyła, że już grać przestał.

Lecz po chwili, nie wstając ze swego miejsca, i nie patrząc się w jego stronę, rzekła: gra pana jest mi aż zanadto dostatecznym świadectwem; proszę od jutra zacząć codziennie przychodzić; co do ceny lekcji nie będzie żadnych trudności. Jako zadatek wypłacę panu za pierwszą lekcją z góry. Wyszła i po chwili wróciła, kładąc mu w rękę 20 koron. Podziękował i spojrzał na nią z wdzięcznością, a zobaczył w jej oczach uczucie podziwu i współczucia. I zawstydził się, bo zobaczył,

że za szczerze grał, że odkrył przed nieznajomą mu osobą swą ranę bolesną. Ale dobra to była osoba, bogata pieniędzmi i subtelnem uczuciem. Wyszedł śpiesznie na ulicę. Bogu dzięki, mówił sam do siebie, idąc trotuarem, mamy przynajmniej być na czas jakiś zapewniony, a za te 20 koron muszę sobie kupić trzewiki; właśnie rozmawialiśmy o tem z rana z Helenką: niepodobna przecież, żebym bez podeszew po porządnym domach chodził, a zwłaszcza po mrozie, po śniegu; strasznie to boli. I skierował swe kroki ku jakiemuś składowi obuwia. To dziś rocznica naszego ślubu! przypomniał sobie. Czemuż nie mogę jej zrobić jakiejś przyjemności, ach!

wiem, co zrobię! marzyła biedaczka o tem, by kupić dziecku konia drewnianego dużego, a sobie jakąś powieść. Co to ona chciała, aha! „la duchesse bleu“ Bourgeta. Mniejsza o te trzewiki, jakoś jeszcze wytrzymam, a muszę to kupić. I zapomniał o mrozie i zmęczeniu, o biedzie i troskach, kupił książkę i konia, przypomniał sobie jeszcze, że lubiła dawniej kandyzowane orzechy, kupił je i obładowany cały raczej biegł, niż szedł do domu. Przyszedł, otworzył drzwi po cichu i stanął w nich jak wryty. Mówiła mu Helenka, że zgodziła już żonę stróża za 4 korony miesięcznie, by sprzątała izbę i myła naczynie. A oto ją zobaczył jak klęcząc przy piecu białemi

i delikatnemi rękoma kładła węgiel do pieca; obok niej stała oparta o piec szczotka, przygotowana widocznie do zamiecienia resztek węgla i drzewa. Stał jeszcze chwilę, patrząc na nią jakby na kobietę, której dotąd nie znał i zawołał nagle jakimś dziwnym urywanym głosem.

— Helenko!

Ona, na dźwięk tego głosu wstała, jakby ruszona sprężyną, obróciła się zarumieniona do drzwi i spojrzała w oczy mężowi, potem na książkę, na wyglądający z papieru łeb drewnianego konia, na jego trzewiki i znowu spotkali się spojrzeniem. Stali tak chwilę naprzeciw siebie, mierząc wielkość zobopólnych ofiar, małych przedmiotem,

olbrzymich poświęceniem i miłością i nagle Jaś upuścił konia, książkę i orzechy na ziemię, wyciągnął ręce do Helenki, która równocześnie rzuciła mu się w objęcia.

— Jak mądrze Bóg świat urządził, mówił później Jaś do Helenki, że tym tylko daje miłość i szczęście, którzy o nie starają się nie dla siebie, lecz dla drugich. . . . .



Matka nowego rodu.



Mglisty zmrok zaczął się opuszczać nad wielkiem miastem, ruchliwem, wesołem, wesołem brzękiem rozpustnie rzucanego złota, szarpanych nerwów, jękiem nędzy wielkomiaستowej. I kiedy natura, zmęczona dniem, zszarzała i ucichła do snu się układając, miasto otworzyło dopiero swe oczy gazowe i elektryczne, przypatrując się ludziom, śpieszącym po ulicach, obrzucając ich białopromiennem spojrzeniem. Nie pomijało nikogo; z ciekawością właśnie patrzyło na młodą dziewczynę, której smukłą i wyniosłą postawę odziewała suknią wytartą

i świecąca nędzą. W jej czarnych, siną obwódka obwiedzionych oczach był wyraz, odpowiadający odzieży, wyraz znękania, zmęczenia i głodu.

Nie jadła nic od rana, nie miała nadziei jedzenia i później, więc stała bezmyślnie pod latarnią, opierając się o nią głową i rękoma w tył złożonemi, a przed nią szedł tłum, szeleszczący jedwabiem i śmiechem, syt chleba a nienasycony potrzebą uciech i przyjemności. „Po com ja tu przyszła,“ myślała sobie, „nikt mi jeść nie da, a ręki z za siebie nie wyciągnę po jałmużnę, bo się boję, żeby mi ludzie czego złego nie dali; postoję jeszcze chwilkę, żeby zobaczyć, jak wyglądają ludzie niegłodni, szczęśliwi, a

potem pójdę gdzie na ławkę,  
może usnę, może snić mi się  
będzie, że się śmieję i jem.

Stała więc chwilę jeszcze,  
ale w swem osłabionem ciele  
i duchu nie mogła znaleźć dość  
siły i woli, by zrobić to, co  
zamierzała.

A tłum ciągle koło niej się  
przesuwał, aż przyszli ludzie,  
którzy nieproszeni dali jej to,  
czego się instynktownie bała i  
pociągęli ją za sobą siłą swej  
woli i namiętności, a jej bra-  
kło znów woli do oparcia się  
i poszła za nimi ze łąką w oku,  
w noc ciemną.

Rok blisko upłynął, dla śmie-  
jących się prędko, dla płaczą-  
cych miarą czasu, którego dłu-  
gość cierpieniem się mierzy.

W wilgotnych suterynach przedmiejskiej kamienicy, w małej izdebce siedziała na ziemi młoda kobieta, trzymając na ręku kwilącą dziccinę, żółtą, z przygasłemi oczyma, a ręką więcej kościotrupa niż ludzką głaskała swe dziecię, obwinięte szmatą.

Lecz dziecko snąć nie zadowalniało się tą pieśczętą, bo kwiliło coraz żałośniej i coraz słabiej.

Biedna matka rozpaczliwym ruchem odsłoniła swą pierś obwisłą, płaską i żółtą jak ona.

— Cóż ci dam, syneczku mój jedyny,“ mówiła, łkając, „coż ci dam, kiedy mamusia nic nie ma; możebyś ty moje łzy wypić, ale to niedobre, to gorzkie, możebyś potem całe życie płą-

kał. Ach! mam jeszcze trochę krwi w sobie, wypij ją; choć umierając zobaczę, żeś sobie podjadł. I chwyciwszy gwałtownie nóż, cięła się z całej siły w lewą pierś; krew po malutku zaczęła się sączyć, więc dziecko do tej piersi podniosła, a ono ssało dla siebie życie, dla matki śmierć.

Gdy na drugi dzień przyszedł stróż kamienicy, by z rozkazu właściciela niepłacącej lokatorce wypowiedzieć mieszkanie, znalazł zastygły trup matki i śpiące na jej rękach dziecko.

Dziecię żyło i wyrosło na męża, ale że był on jałmużną daną biednej dziewczynie przez ludzi, a pierwszym pokarmem jego była krew, więc chodził

po mieście zebrać, a z nim wielu jemu podobnych i wołali do tłumu, szeleszczącego jedwabiem i śmiechem, sytego chleba, a nie nasyconego potrzebą uciech i przyjemności: „dajcie nam krwi waszej, bośmy głodni!“



Różana miłość.



Pączki róż  
kładź we włosy,  
perły rosy  
rannych zórz  
wplataj w kosy.

Nucił zcicha, chodząc między kwiatami barwnymi i ścinał je, a one słysząc ten śpiew miłosny, słaniały się wdzięcznie ku niemu, oddając z uśmiechem życie swe śmierci. Zrazu wybierał co najpiękniejsze pączki różane, białe, czerwone i żółte i stroił się w nie, pijąc spragnionemi ustami zdobiącą ich rosę, oddychając różanym zapachem i chodził od rana przez cały dzień po skwarze słońca, po kwiecistej niwie; odurzony

rwał je coraz prędzej, nie pomijając już żadnego pączka, i nie widział, jak każdy z nich ukrytem cierniem do niego się tulił, a każdy ten uścisk różany kropelkę krwi mu wysączył.— Czuł czasem ukłucie, lecz nie badał przyczyny, kładł na bolące miejsce nowy kwiat i tak mu się zdawało, że kłujący ból już uśmierzył. Ale pączki pijąc jego krew i ciepło, rozwinęły się w szkarłatne i pąsowe róże a szerokie ich listki poczęły mu oczy zasłaniać i zapierać oddech. Więc stanął, niby góra różana i wyciągnął naprzód ręce, szukając drogi, którąby przeszedł. I począł się słać: coby to było? a że wzrok utracił, nie poznał zdrady kwiatów. Wstrząsnął się cały i róże zrzu-

cał na ziemię, a te spadając ciężko i wolno, zabierały mu z sobą jego życie.

Dzień żniwa kwiatów miłości przeszedł. Słońce utrudzone tą niebieską drogą zczerwieniało, a goniące go chmurki, zmęczone pościgiem, zsiniały i przeszły powoli w seledynową nicość, ginącą w przestrzeni.

On stał nad leżącymi na ziemi różami i płakał gorzko nad ich zdradą. Wreszcie odwrócił się z pogardą i poszedł zwolna szukać sobie miejsca spoczynku, by na drugi dzień nowe zacząć żniwo.

Lecz że już było ciemno, więc błądził i chodził długo w kółko i wciąż mimowoli do wzgardzonych powracał kwiatów. Wreszcie, po długiej nocy,

różowa jutrenka powstała, a wzięwszy gwiazdom złotym ich światło i blask, oddała je słońcu, by świeciło. I zrobiło się jasno; biedny zbłąkany, widząc dzień, chciał choć utrudzon pójść na swe żniwo, ale w sercu krwi, a w ciele sił mu zabrakło; więc, miasto iść, runął bezzwładnie na zwiędłych róż posłanie i skonał.





TEGOŻ, AUTORA:

**MARIE-VALSE**

(na fortepijan)

wyszedł

NAKŁADEM KSIĘGARNI  
KATOLICKIEJ

Dra WŁAD. MIŁKOWSKIEGO

W KRAKOWIE.

Cena 2 korony.

















WYŻSZA SZKOŁA  
PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
B I B L I O T E K A

110258

Biblioteka WSP Kielce



0155673